



Eden

NOWY POCZĄTEK

Mia Sheridan

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

Tytuł oryginału: Finding Eden: A Sign of Love #2

Tłumaczenie: Petra Carpenter

ISBN: 978-83-283-2031-4

Copyright © 2014 by Mia Sheridan. All Rights Reserved.

Permission by the author must be granted before any part of this book can be used for advertising purposes. This includes the right to reproduce, distribute, or transmit in any form or by any means.

Polish edition copyright © 2016 by Helion SA.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://septem.pl/user/opinie/edennp>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: septem@septem.pl

WWW: <http://septem.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

„*Nie wątpij, wola twoja będzie dopełniona... Zbliź się! Oba nawzajem rękami się chwycim i smutnej się słodczy płakania nasycim*”.

Homer, *Iliada*, w przekładzie Franciszka Ksawerego Dmochowskiego

Eden

Obudziłam się pod grubą kołdrą i szeroko otwartymi oczami rozglądałam się po pomieszczeniu. Nie drgnęłam nawet, tylko nadstawiłam uszu, próbując się domyślić, gdzie jestem. Wtedy usłyszałam kroki zmierzające w moją stronę, a potem ujrzałam stojącego nade mną starszego mężczyznę, tamtego jubilera. A wówczas wszystkie wspomnienia wróciły... Słuczenie wazonu, zapłcenie za niego medalionem, przytułek dla bezdomnych, omdlenie. Posłałam mężczyźnie przelotne spojrzenie, po czym wróciłam do nerwowego myszkowania wzrokiem po otoczeniu, czując, jak odruchowo włącza się mój instynkt walki i ucieczki.

— Nie bój się, po prostu zemdlałaś. Mój kierowca pomógł mi zanieść cię do samochodu. Jesteś w moim domu.

Usiadłam, zasłaniając piersi kołdrą. Wciąż miałam na sobie swoje ubranie, ktoś jedynie zdjął mi buty.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć; nie byłam nawet pewna co, gdy drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju weszła kobieta trzymająca w dłoniach tacę.

Jedzenie. Jego zapach sprawił, że żołądek fiknął mi koziołka, a do ust natychmiast pociekła ślinka.

Kobieta położyła tacę na moich udach, a ja łapczywie spojrzałam na to, co się tam znajdowało — jakaś zupa oraz kilka pasztecików, ozdobionych małymi, topniejącymi kawałkami masła. Głód zwyciężył. Najpierw coś zjem, a potem pomyślę, jak się stąd wydostać. Musiałam coś zjeść. W tamtej chwili wilczy apetyt rządził mną niepodzielnie i nie potrafiłam się mu oprzeć. Nie dbałam o to, gdzie jestem, dlaczego i z kim. Liczyło się tylko jedzenie. Trzęsącymi się dłońmi podniosłam łyżkę i zaczęłam pakować sobie posiłek do ust, łypiąc spod oka na jubilera i stojącą obok niego kobietę w stroju pokojówki. Oboje obserwowali mnie ze smutkiem, ale i z zaciekawieniem.

Kobieta zrobiła krok w moją stronę. — Nie spiesz się tak, maleńka. Musiałaś głodować od dłuższego czasu. Zemdli cię, jeśli będziesz jeść za szybko. Zmusz się, żeby trochę zwolnić. — Potem położyła dłoń na moich plecach i zaczęła je masować spokojnymi, okrężnymi gestami, a ja w ślad za nimi przyhamowałam ruch łyżki wędrującej od talerza z zupą do ust. Przez kilka minut panującą w pokoju ciszę przerywało jedynie moje mało dystygowane siorbanie, a potem odgłosy przeżuwania, gdy sięgałam po kolejne paszteciki i pochłaniałam je na trzy kęsy. Kobieta wciąż delikatnie masowała mi plecy, co nie tylko mnie uspokajało, ale i przypominało, bym jadła najwolniej, jak potrafię. Kilka razy czułam, jak posiłek podchodzi mi do gardła, ale na szczęście nic złego się nie stało i kiedy wreszcie skończyłam, sięgnęłam po serwetkę, otarłam dłonie i twarz, a potem odłożyłam wszystko, obrzucając oboje zawstydzonym spojrzeniem. Moja duma dała o sobie znać, gdy tylko wypełniłam pustkę w żołądku.

— No i proszę, od razu lepiej — powiedziała nieznajoma, a ja przyjrzałam się jej życzliwej twarzy. Tak wiele czasu minęło od chwili, gdy ktoś był dla mnie miły. Łzy napłynęły mi do oczu, ale odwróciłam wzrok, nim zdołały wydostać się na wolność. Kobieta zabrała rękę z moich pleców, podniosła tacę, nachyliła się do mężczyzny i szepnąwszy mu coś cicho do ucha, wyszła z pokoju.

Wysunęłam nogi za krawędź łóżka, ale mężczyzna położył dłoń na moim ramieniu i powiedział: — Proszę, będzie mi bardzo miło, jeśli zostaniesz u nas na noc. Łazienka jest tam. — Skinął głową w lewą stronę, a ja zerknęłam na zamknięte drzwi, które mi wskazał. — A ten pokój od jakiegoś czasu jest pusty. Zostań, proszę. Przynajmniej tyle chciałbym dla ciebie zrobić po tym... co się dziś wydarzyło.

Oblizalam spierzchnięte wargi i rozejrzałam się dookoła, próbując podjąć jakąś decyzję. Desperacko pragnęłam zostać w tym przytulnym miejscu, w którym mogłam spać na najprawdziwszym łóżku, ale nie rozumiałam, dlaczego ten mężczyzna mnie do siebie sprowadził.

— Zniszczyłam dzisiaj pańską własność — powiedziałam wreszcie.

Mężczyzna ściągnął usta. — Tak, i zapłaciłaś za nią. A ja mogłem postąpić zupełnie inaczej. Przepraszam, że sam się tym nie zająłem.

Nie byłam pewna, co powiedzieć, milczałam więc, patrząc na niego badawczo.

— Proszę. Pozwól mi gościć cię tej nocy. A jutro możemy uzgodnić... inne kwestie. Dobrze?

Spuściłam wzrok, niespokojnie zaciskając dłonie na udach. Miałam wybór między pozostaniem w tym miejscu a wyjściem na ziąb ulicy. Ale nie miałam pojęcia, na czym mają polegać te „inne kwestie”, i trochę mnie to niepokoiło. Wreszcie kiwnęłam głową, a gdy na niego spojrzałam, wyglądał na usatysfakcjonowanego.

— Świetnie. Weź prysznic. Prześpij się. Do zobaczenia rano. — To rzekłszy, obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z pokoju.

Gdy tylko poszedł, rzuciłam się do drzwi i przekręciłam klucz. Oparłam się o nie i po raz pierwszy spokojnie przyjrzałam się wnętrzu. Było piękne. Ściany wyłożono jakąś tkaniną w kwieciste wzory. Podeszłam do jednej z nich, by przeciągnąć dłonią po aksamitnej powierzchni z lekko tylko zaznaczoną fakturą. Staralam się wywołać w sobie poczucie wdzięczności za otaczające mnie piękno, ale skończyło się na beznamiętnym dostrzeganiu. Odwróciłam się i ponownie spojrzałam na łóżko. Luksusowe jedwabie i atłasy pyszniły się kremowymi odcieniami i akcentami lilaróż. Zachęcające. Podeszłam

z powrotem do łóżka. Po napełnieniu żołądka potrzeba snu była zbyt wielka, by się jej oprzeć. Wykąpię się rano.

Wciąż w pełnym rynsztunku wsunęłam się pod wykrochmaloną pościel. Sen wziął mnie pod swoje ciemne skrzydła i zagarnął w błogosławiony niebyt.

Śniłam o kwiatach powoju, blasku poranka, *śniłam o nim, o mojej miłości*, śniłam ulotne obrazy, które tańczyły i wirowały, aż zmyła je fala wody tak potężna, że przytłoczyła mnie całą. Nie starczyło mi tchu w płucach, by wypowiedzieć jego imię, by wyszeptać słowa, które powinien usłyszeć na koniec — że go kochałam, że zawsze będę go kochać, że był moją siłą i moją słabością, moją nieskończoną radością i największym smutkiem.

Obudziłam się z płaczem, bez tchu, ale i bez słowa.

Poszłam do łazienki i przygnębiona zdjęłam z siebie ubranie. Na chwilę stanęłam przed lustrem i zdusiłam szloch, gładząc dłonią płaski brzuch. Weszłam pod ciepły prysznic i odchyliłam głowę do tyłu, by zmoczyć włosy. A potem zwiesiłam ją przed sobą i dałam upust emocjom, które przez miniony tydzień tak kurczowo w sobie tłamsiłam. Osunęłam się na dno brodzika, oparłam plecami o ścianę i wreszcie rozplakałam się z ulgą, wiedząc, że szum lejącej się wody zagłuszy mój szloch.

* * *

Do dużego holu weszłam wykąpana, ubrana i lżejsza o tę odrobinę żalu, którą z siebie wyrzuciłam — przynajmniej na razie.

Moją uwagę zwróciło pobrzękiwanie naczyń, zajrzałam więc do dużej kuchni, gdzie przed talerzem z jedzeniem siedział jubiler. Na stole obok niego leżała rozłożona gazeta.

— Dzień dobry — powiedział, wstając. — Wyglądasz na odświeżoną. Dobrze ci się spało?

Przytaknęłam. — Tak, dziękuję. — Zerknęłam w stronę stojącego na stole jedzenia — talerza z jajecznicą z bekonem i misy z owocami.

Jubiler podążył za moim wzrokiem i zapraszająco skinął dłonią. — Proszę, siadaj. Jedz. Możemy przedyskutować kwestie, o których wspominałem wczorajszego wieczoru.

Skinęłam głowę i zagryzając wargę, zajęłam miejsce przy stole, on zaś nałożył jedzenie i postawił je przede mną.

Wzięłam kilka kęsów, zanim uniosłam wzrok i zebrałam się na odwagę. Chciałam tutaj zostać. Ten mężczyzna był miły, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Ale byłam niemal pewna, czego będą dotyczyły „inne kwestie”, i wątpiłam, że dałabym radę im sprostać — nie mogłam sobie tego wyobrazić. Nie po tym, co przeszłam. Wolałabym wrócić na ulicę — i pewnie tam umrzeć — ale śmierć mnie nie przerażała; już nie.

Będę na ciebie czekać przy źródle. Przyjdź mnie odszukać, będę tam.

Odkaslnęłam. — Nie mogę przyjąć pańskiej propozycji — powiedziałam, spuszczając wzrok.

Uniósł brwi ze zdziwienia, a filiżanka z kawą zastygła w połowie drogi do jego ust. Przekrzywił głowę. — Ale ja jeszcze niczego nie proponowałem.

Speszyłam się, czując wpełzający na szyję rumieniec. — Domyślam się, czego pan chce — powiedziałam cicho.

Jubiler przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem opuścił filiżankę z kawą i z brząkami odstawił ją na spodek. Kiedy na niego spojrzałam, wpatrywał się we mnie ze... złością? Smutkiem? Nie byłam pewna. — Ale ja wcale tego nie chcę.

Patrzyłam na niego zmieszana. — Powiedział pan, że mamy pewną kwestię do omówienia.

Wziął głęboki wdech i badawczo przyglądał mi się przez kilka chwil. — Przede wszystkim chyba się sobie nie przedstawiliśmy. Nazywam się Felix Grant. Proszę, mów mi Felix. Dobrze?

Kiwnęłam głową, czekając na to, co powie dalej.

— W porządku. A ty jak się nazywasz?

— Eden — odparłam cicho.

— A nazwisko?

Spuściłam wzrok i odkaszlnęłam. — Nie wiem.

— Nie znasz swojego nazwiska? — zapytał z niedowierzaniem.

Pokręciłam głową. — Nie. Wiem, że kiedyś jakieś nosiłam, ale po śmierci mojej rodziny zamieszkałam z kimś innym i... zapomniałam, jak brzmiało.

Na moment znów zapadła cisza. — Jak to możliwe? Jak mogłaś uczęszczać do szkoły, nie mając nazwiska?

— Nigdy nie chodziłam do szkoły — odpowiedziałam cicho, czując, jak twarz czerwienieje mi jeszcze bardziej.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście — odparłam. Felix popatrzył na mnie jakby z powątpiewaniem.

I znowu cisza, a potem pytania: — Eden, czy powinienem zadzwonić po policję? Co się stało?

Na dźwięk słowa *policja* nagle spojrzałam mu prosto w oczy. — Nie! Proszę, nie. Ja... nikt mnie nie szuka. Nie jestem zbiegiem czy coś. Ja po prostu... już nikogo nie mam. Oni wszyscy... odeszli. Proszę, tylko nie policja. — Mój głos załamał się na ostatnim słowie i spojrzałam na niego błagalnie, gotowa biec na oslep przed siebie, jeśliby sięgnął po telefon.

Felix przez kilka chwil przyglądał mi się z namysłem, aż wreszcie powiedział: — Co potrafisz, Eden? Umiesz gotować? Sprzątać?

Pokręciłam głową. — Nie wolno mi było tego robić. Umieć grać na fortepianie — dodałam z nadzieją. To było chyba jedyne, co tak naprawdę potrafiłam.

Felix uniósł brwi. — Naprawdę? Skoro tak, to się dobrze składa, bo moja wnuczka chciałaby brać lekcje gry na fortepianie. Myślisz, że jesteś wystarczająco dobra, by ją uczyć?

Wolno pokiwałam głową. — Tak. Tak, mogłabym uczyć gry na fortepianie.

Felix przytaknął. — Świetnie. Zatem to jest moja propozycja — zatrudniam cię. Wynagrodzenie obejmuje wyżywienie i dach nad głową. A twoja praca będzie polegała tylko na uczeniu mojej wnuczki, Sophii, gry na fortepianie. Czy wyraziłem się jasno, Eden?

Skinęłam, czując coś jakby przebłysk nadziei. Mogłam mieć bezpieczny, ciepły kąt i jedzenie. Przynajmniej tyle.

— Dobrze. W takim razie jesteśmy umówieni. Sądząc po tym, gdzie zamierzałaś wczoraj stanąć w kolejce, nie posiadasz nic poza tym, w czym przyszałaś?

Pokręciłam głową, patrząc na swoje zbyt obszerne łachy. — Przykro mi. Gdy trochę popracuję, będę mogła kupić jakieś inne ubrania... jakieś ładniejsze... — głos uwiązł mi w gardle ze wstydu, ale Felix tylko machnął dłonią.

— Dam ci zaliczkę na nowe ubrania. Marissa wyjdzie dziś i wybierze dla ciebie jakieś rzeczy. Poznałaś Marissę ubiegłego wieczoru.

Kiwnęłam głową, a potem przyjrzałam się Feliksowi badawczo. Był już starszym mężczyzną, zapewne po sześćdziesiątce, ale trzymał się świetnie. Miał jasne, niebieskie oczy i gęste, szpakowate włosy. — Feliksie, nie rozumiem tego. Dlaczego to dla mnie robisz? — spytałam go wreszcie.

Spojrzał najpierw na mnie, a potem na kilka stojących na brzegu stołu buteleczek z pigułkami, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi. Wziął do ręki jedną z nich i zanim zdecydował się mi odpowiedzieć, odkręcił nakrętkę i połknął tabletkę. Nie sposób było nie dostrzec drżenia jego rąk. Czyżby był chory?

— Bo wczoraj, po tym, co zaszło w moim sklepie, dokonałem niewłaściwego wyboru. — Urwał i zamyślił się na dłuższą chwilę. — A kiedy potem zobaczyłem cię na ulicy, odchodzącą od kolejki ustawionej przed przytułkiem, potraktowałem to jako drugą szansę na zrobienie czegoś dobrego. Już raz kiedyś dokonałem złego wyboru,

Eden, i nigdy nie dostałem drugiej szansy, by naprawić swój błąd. Czy to cię przekonuje?

— Chyba tak — odparłam cicho.

Kiwnąłem głową. — To dobrze, że mamy to wyjaśnione. Ty masz teraz gdzie mieszkać, a ja mam nowego nauczyciela fortepianu. A skoro już o instrumencie mowa, muszę go nastroić. Nie grano na nim od lat. — Zanim wstał, w jego oczach na chwilę załśnił smutek. — Dziś możesz się odprężyć. Jutro poznasz Sophię. Gdybyś czegoś potrzebowała, Marissa jest tutaj przez cały dzień.

Kiwnęłam głową, gdy obok mnie przechodził. — Dziękuję — powiedziałam miękko i odetchnęłam z niewystowioną wdzięcznością i ulgą. Jego kroki zwolniły, gdy przechodził obok mojego krzesła, ale nie rzekł już ani słowa, a kilka minut później usłyszałam, jak na dole w holu zamykają się drzwi.

Poranek spędziłam w moim nowym pokoju, czytając znalezione na nocnym stoliku książki, bo dawały chwilę zapomnienia — a gdy nie potrafiłam już powstrzymać łez, zwiijałam się w kłębek i płakałam.

Jakoś w porze lunchu usłyszałam, że Felix wrócił do domu. Wkrótce potem zabrzmiał dzwonek do drzwi wejściowych i przez kolejną godzinę dobiegały mnie dźwięki strojonego fortepianu.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, otworzyłam je i zobaczyłam uśmiechającą się już od progu Marissę.

— Lunch jest już prawie gotowy, kochanie, a fortepian został nastrojony, jeślibyś chciała go wypróbować.

— Dziękuję, Marisso. Ale nie musisz mi przygotowywać jedzenia. Sama mogę zakrzętnąć się w kuchni.

Marissa machnęła ręką, odchodząc. — Żaden kłopot.

Kiwnęłam głową, ale zawołałam za nią: — Marisso?

Odwróciła się. — Tak, kochanie?

Odkaszlnęłam. — Czy Felix... czy on... pozwala ci wychodzić na zewnątrz?

Marissa przekrzywiła głowę i uniosła brwi ze zdziwienia. — Wychodzić? W sensie wychodzenia z domu?

Poczułam, jak się rumienię. — Tak. Mam na myśli, czy... kiedy chcesz. Pozwala na to?

— Tak, oczywiście. Mogę robić, co mi się podoba, tak jak ty. — Spojrzała na mnie z troską.

— To dobrze — odparłam cicho.

Marissa patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, aż wreszcie pokiwiała głową i poszła.

Przeszłam przez hol do salonu, gdzie wcześniej widziałam wielki fortepian. Usiadłam na ławeczce przed instrumentem, odetchnęłam głęboko i położyłam palce na klawiszach. A kiedy zaczęłam grać, zdało mi się, że przeniosłam się z powrotem do głównej siedziby i daję koncert przed radą, na pokaz. Przymknęłam powieki, wyciskając z kącików oczu łzy, które wolniutko spłynęły w dół po policzkach.

Usłyszałam czyjeś głosy i otworzyłam oczy, wsłuchując się w słowa wypowiedane w innym pokoju. Pomimo dźwięków fortepianu słyszałam je wyraźnie — akustyka sklepienia sprawiała, że rozmowa zdawała się trafiać wprost do moich uszu.

— Jest niezła — dosłyszałam głos Feliksa.

— Jest lepsza niż niezła, Feliksie. Skąd ona się wzięła? — spytał inny mężczyzna; jak się domyśliłam, ten, który nastroił fortepian.

— Nie wiem. Nie powiedziała mi. Ale wydaje się bardzo smutna.

Uplynęła dłuższa chwila, zanim znów odezwał się ten drugi. — Znałem jeszcze tylko jedną pianistkę, która tak umiała przekazać w muzyce to uczucie.

— Smutek? — spytał Felix.

— Więcej niż smutek. Złamane serce — odparł łagodnie stroiciel.

Potem nie mówiono już nic, a muzyka rozbrzmiewała wokół mnie, wylewała się z moich palców, z mojego serca, z przepelnionej tęsknotą duszy, ze wszystkich zdruzgotanych zakątków. A w każdej nucie dało się słyszeć to samo odbijające się echem imię... *Calder, Calder, Calder.*

* * *

Ulica dziesięć pięter pode mną zafalowała, kusząc obietnicą twardego lądowania na betonie i błogosławionego niebytu, który wzywał mnie tak słodko. Nie chciałem się temu opierać. Miałem nadzieję, że zanim odejdę w nicość, zarejestruję choć kilka sekund niewyobraźalnego bólu. Zasłużyłem na to. Nie chciałem śmierci, która nie wymagałaby cierpienia. *Czy ona cierpiała? Czy wzywała moje imię w ciemności, gdy woda zalewała ją, a potem wypełniła jej płuca palącym, duszącym przerażeniem?* Z mojego gardła wyrwał się skowyt niczym głośny, umęczony oddech i wziąłem kolejny haust z do połowy opróżnionej butelki, którą trzymałem w ręce. Spłynął po przetyku wolnym, palącym płomieniem. *Płomieniem.*

— Calder — usłyszałem za sobą głos Xandra, niski i przesycony lękiem. — Brachu, daj mi rękę.

Gwałtownie obróciłem głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę i zachwiałem się na balustradzie, na której siedziałem. Wystarczyłoby się odrobinę pochylić; ba, wystarczyłoby pomyśleć o pochyleniu się, a runąłbym w dół, wprost w objęcia śmierci. *Do niej.*

— Nie, Xandrze — odparłem, trochę sepleniąc. Byłem pijany, ale nie na tyle pijany, by nie myśleć wystarczająco trzeźwo. A przynajmniej tak mi się zdawało.

— Co robisz, Calder? — spytał Xander, siadając na poręczy kawałek ode mnie. Zerknąłem na niego i zmrużyłem oczy. Jego głos był łagodny, ale wzrok zdradzał czyste przerażenie.

— Nie chcę ci tego robić, bracie. Ale to wszystko za bardzo boli. To była moja wina. Nie zasłużyłem, żeby żyć — odparłem.

— To dlaczego żyjesz? — spytał Xander głosem miękkim i spokojnym jak kołysanka. Mama śpiewała mi kołysanki, gdy byłem małym dzieckiem i nie mogłem zasnąć. Oczywiście mama stała też przy mnie, gdy mój ojciec próbował mnie podpalić. Ale teraz o tym nie myślałem. Nie mogłem. Opadły mi ramiona, a powiew wiatru sprawił, że poczułem wilgoć na twarzy.

— Wiesz, co uważam? — ciągnął. — Że jesteś żywy, bo *masz* być żywy. Z jakiegoś powodu *masz* tutaj być. Jesteś jedynym człowiekiem, który tamtego dnia wyszedł cało z Akadii. *Jedynym*. A jeśli o mnie chodzi, wątpię, by nie było w tym jakiegoś ukrytego celu. Nie chcę wierzyć, że bez powodu dostrzegłem pośród tej makabrycznej apokalipsy twoją wyciągniętą w górę rękę, bym mógł cię stamtąd wyciągnąć. I chcę pomóc ci odkryć, co jest tym powodem, Calder. Złap mnie za rękę jeszcze raz. Złap mnie za rękę i pozwól sobie pomóc.

Patrzyłem na niego, a gniew zaczął jeszcze mocniej buzować mi w żyłach. Wziąłem kolejny ognisty łyk alkoholu.

— Był dzień, że niosłeś mnie przez trzydzieści kilometrów na własnych plecach — rzekł, a głos załamał mu się na ostatnich słowach. — Trzydzieści kilometrów. A jeśli byś tego nie zrobił, tego tragicznego dnia byłbym w Akadii. I teraz prawdopodobnie już bym nie żył. Czy opuściłbyś mnie tamtego dnia? Czy *opuścisz* mnie tamtego dnia?

Zmarszczyłem brwi. — Nie — odparłem. — Nigdy.

— Więc weź mnie za rękę. Pozwól mi cię ponieść. Teraz moja kolej. Nie odmawiaj mi tego. Cokolwiek jest moje...

— Wiem — wykrztusiłem. Schyliłem głowę, by dać upust mojemu rozgoryczeniu, a ramiona dygotały mi pośród cichych spazmów wstrząsających moim ciałem. Kiedy trochę się uspokoiłem, szeptem rzuciłem żalosne: — *Kurwa*. — Otarłem rękawem twarz i odrzuciłem butelkę na bok. Powinienem upić się bardziej, ale to cholerstwo jakoś mi nie wchodziło. — Życie wydaje mi się tak piekielnie długie — powiedziałem po chwili.

— To dlatego, że cierpisz i masz wrażenie, że nigdy się to nie zmieni.

— Bo się *nie zmienia*. Nigdy nie będzie lepiej.

— Będzie. Musisz próbować. Musisz próbować, Calder.

— Próbowałem! Próbowałem przez cztery miesiące.

— To potrwa dłużej niż cztery miesiące. Tak już po prostu jest.

Westchnąłem głęboko i zacząłem wpatrywać się w niebo. Pełne było gniewnych, ciemnych, przetaczających się coraz bliżej burzo-

wych chmur. Wkrótce całe niebo pięknie, tak jak ja, i spłynie deszczem.

Przez kilka długich minut siedzieliśmy w ciszy, a świat w mojej głowie wirował. — Są jakieś wieści o identyfikacji pozostałych ciał?

— Nie — odparł Xander. — Wiesz przecież, że gdyby były, tobym ci powiedział. — To Xander oglądał wiadomości i słuchał relacji poświęconych Akadii. Ja nie potrafiłem się zmusić.

Kiwnąłem głową.

— Wciąż nie wspominali, czy ktokolwiek się stamtąd wydostał?
— Ostatnie słowa wypowiedziałem schrypniętym głosem.

Xander pokręcił głową, patrząc na mnie ze współczuciem.

— Ślady, które widziałeś na piasku...

— Nie, brachu. To mogły być ślady... po prostu nie wiem. Proszę, Calder. Złap mnie za rękę.

Odwróciłem się, by znów wpatrywać się w niebo.

Xander obserwował mnie dłuższą chwilę, a potem zerknął na potłuczoną butelkę whisky, którą cisnąłem obok. — Jeśli chcesz iść na przód, nie możesz wszystkiego zagłuszać.

Z wolna wyprostowałem plecy. — Nie piję po to, by zagłuszać — odparłem, napotyając jego wzrok. Wiedziałem, że moje oczy są opuchnięte i przekrwione. — Piję, bo dzięki temu *czuję* wszystko jeszcze mocniej. Piję, żeby cierpieć.

Xander wpatrywał się we mnie. — O bogowie — mruknął, kręcąc głową. — Tym bardziej powinieneś przestać. Nie zasłużyłeś na to.

— Przeciwnie — wykrztusiłem. — Zasłużyłem.

— To nie była twoja wina, Calder. Nic z tego, co się wydarzyło, nie stało się przez ciebie.

Stanowczo pokręciłem głową, niezdolny do ujęcia w słowa uczuć, jakie zaległy mi się w sercu. To *była* moja wina. Nie było tutaj Eden, bo nie potrafiłem jej uratować. Zawiodłem ją. I tęskniłem za nią tak rozpaczliwie, że w niektóre dni nie byłem w stanie nawet ruszyć się z miejsca. Przygniatał mnie żal nie do zniesienia, a jedyną ucieczką, jaka przychodziła mi do głowy, była śmierć. Ale co, jeśli...

— Co, jeśli odebranie sobie życia sprawi, że trafię gdzie indziej niż ona? — spytałem głosem niewiele donośniejszym od wiatru.

Xander milczał przez chwilę. — Nie wiem, czy tak to działa. Chciałbym ci powiedzieć, że masz rację, bo wtedy zszedłbyś z tej poręczy, ale wiesz przecież, że nigdy bym cię nie okłamał. Tak naprawdę po prostu nie wiem. — Zwiesił głowę, ale nie spuszczał ze mnie wzroku. Odwróciłem się i znów zadarłem głowę ku niebu.

— Calder, nie zamierzam twierdzić, że wiem, co czujesz, ale ja także tęsknię za ludźmi. A Eden była też moją przyjaciółką.

Gwałtownie wypuściłem powietrze z płuc i kiwnąłem głową. Xander stracił rodziców, siostrę, szwagra, przyjaciół... — Wiem.

— Daj sobie pomoc. I proszę, nie zostawiaj mnie zupełnie samego. Nie mówię tego po to, by pogłębiać twoje poczucie winy, ale dlatego, że to najszczerza prawda. Cholernie by mi cię brakowało i zostałbym sam. Nie rób mi tego.

Popatrzyłem na niego, na twarz, która towarzyszyła mi przez całe życie, odkąd pamiętam. Westchnąłem głęboko i niespokojnie, a potem wyciągnąłem do niego rękę. Przysunął się do mnie powoli, ale schwycił moją dłoń tak mocno, że jeślibym się rzucił, on bez wątpienia poleciałby za mną. Wiedziałem, że nie zamierza mnie puszczać. Poczułem, jak łzy znów napływają mi do oczu, i spuściłem wzrok. Po dobrej minucie zdecydowałem się odwrócić, wyswobodziłem się z uchwytu Xandra, przerzuciłem nogi na drugą stronę barierki i oparłem stopy na dachu przed sobą. Twarz zrosiły mi pierwsze krople deszczu, delikatne jak pieszczota.

Objąłem kolana ramionami i bezwładnie oparłem na nich głowę. Płakałem. Xander podszedł i bez słowa mocno chwycił mnie za ramiona. Deszcz nasilał się, moczył plecy mojej koszulki, spływał po szyi i mieszał się ze łzami. Po jakimś czasie łzy przestały płynąć, a deszcz stał się zaledwie lekką mgiełką unoszącą się w powietrzu. Wyprostowałem się. Niewidzącym wzrokiem zacząłem wpatrywać się w drzwi prowadzące do klatki schodowej, z której wchodziło się do naszej ciasnej klitki, aż wreszcie moim ciałem wstrząsnął niespokoj-

ny oddech. Byłem taki zmęczony. Alkohol przemieszany z wewnętrznym bólem sprawił, że zachciało mi się spać. Może choć dziś uda mi się uniknąć prześladowających mnie koszmarów.

— Wiesz, co zamierzam zrobić jutro? — spytał Xander.

Pokręciłem głową. — Z tobą nigdy nic nie wiadomo — odparłem, ocierając dłonią wilgotną twarz.

Xander roześmiał się. — Zuch, no nareszcie! — odparł z braterską miłością w głosie. — Zamierzam zajrzeć do sklepu z materiałami dla plastyków, obok którego przechodzę codziennie, i kupić ci jakieś przybory. Może malowanie ci pomoże. Co o tym sądzisz?

Przezesiałem palcami mokre włosy. — Nie wiem, czy będę potrafił — odparłem szczerze. — To może budzić wspomnienia... — zamilkłem. — Z drugiej strony wszystko budzi.

— Przyniosę przybory, a ty wtedy zdecydujesz, dobrze? — rzekł, znów mocno ściskając moje ramiona.

— Tak naprawdę nie stać nas na przybory malarskie — stwierdziłem.

— Ależ stać. I tak zamierzałem schudnąć parę kilo.

Wydałem z siebie odgłos, który zabrzmiał jak marna imitacja chichotu, i pokręciłem głową.

— Właż do środka — poradził Xander. — Mamy dwie puszki tej fasoli, którą tak lubisz.

— O Boże! — rzekłem, krzywiąc się, ale gdy on wstał, poszedłem w jego ślady, a potem podążyłem za nim do środka, oddalając się od krawędzi dachu, od Eden, ale w żadnym razie nie od cierpienia, które trawiło mi duszę i miało ją trawić już zawsze.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Nic na świecie nie jest tak mocne jak prawdziwa miłość!

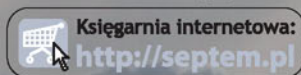
Po tragicznej powodzi, w której na własną prośbę zginęli niemal wszyscy mieszkańcy Akadii, życie Caldera i Eden zmieniło się diametralnie. Oboje myślą, że to drugie nie żyje, że padło ofiarą zbiorowego szaleństwa sekty. Eden znajduje bezpieczną przystań w domu bogatego jubilera i uczy jego wnuczkę grać na fortepianie, a Calder walczy z demonami pod opieką Xandra — przyjaciela z lat dzieciństwa, który także stracił w powodzi całą swoją rodzinę. Powoli uczą się żyć bez siebie — ona dowiaduje się, że jako dziecko została porwana, i odnajduje matkę, on zostaje uznanym artystą malarzem. Jednak nic nie jest w stanie zapełnić pustki, jaką oboje odczuwają, zabić tęsknoty za utraconą miłością. Złamane serca pozostają złamane... do czasu, gdy drogi Caldera i Eden znów się przecinają.

Przypadek czy przeznaczenie? Raz jeszcze powróć do świata, w którym mądrość, miłość i odwaga pozwalają bohaterom przetrwać najcięższe chwile. Zobacz, jak walczą o swoją godność, spełnienie i szczęście.

Eden. Nowy początek to książka o walce dobra ze złem, miłości mocniejszej niż śmierć i sile nadziei, która nie pozwala poddać się rozpacz. Od zarania dziejów do końca świata.

Mia Sheridan — autorka wielu bestsellerów „New York Timesa”, „USA Today” i „Wall Street Journal”, takich jak *Archer's Voice*, *Calder*, *Narodziny odwagi* oraz *Stinger. Żądło namiętności*. Uwielbia snuć opowieści o prawdziwej miłości i o ludziach, którzy są sobie przeznaczeni. Mieszka z mężem w Cincinnati w stanie Ohio. Więcej informacji znajdziesz pod adresami: www.miasheridan.com i www.facebook.com/miasheridanauthor.

Nr katalogowy: 45267



septem
septem.pl

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: septem@septem.pl
<http://septem.pl>

ISBN 978-83-283-2031-4



cena 39,00 zł